Cena numeru 15 zł.

# RÓŻGI
## BIAŁCO-TYDZIEŃ

Rok II | 8 czerwca 1947 r. | Nr. 24 (44)

RYS. STANISŁAW CIEŁOCH

# MODA I ŻYCIE PRAKTYCZNE

LUDWIK JERZY KERN

# PROKURATOR i JA

Im niższe są ludzkie wzloty,
im więcej podłości i zła,
tym więcej mamy roboty
pan prokurator i ja.

Nasze istnienie na świecie
to wielka na bliźnich szarża.
My po to żyjemy przecież,
żeby bez przerwy oskarżać.

Z radością szukamy błędów
wewnątrz rodzaju ludzkiego:
pan prokurator z urzędu,
a ja z powołania swego.

My przecież z tego żyjemy,
pieniądze bierzemy za to.
Z podłością robimy co chcemy,
ja oraz pan prokurator.

Tym, których z pasją ścigamy
czarna bandycka troska,
szczeble kariery złamane
i pusta torba dziadowska.

A dla nas, prokuratorze,
każda wygrana sprawa,
to satysfakcja i może
nawet tak zwana sława.

Niewiele z tego jest złotych,
lecz w końcu jakoś się pcha.
I grunt, że kupę roboty
ma prokurator i ja!

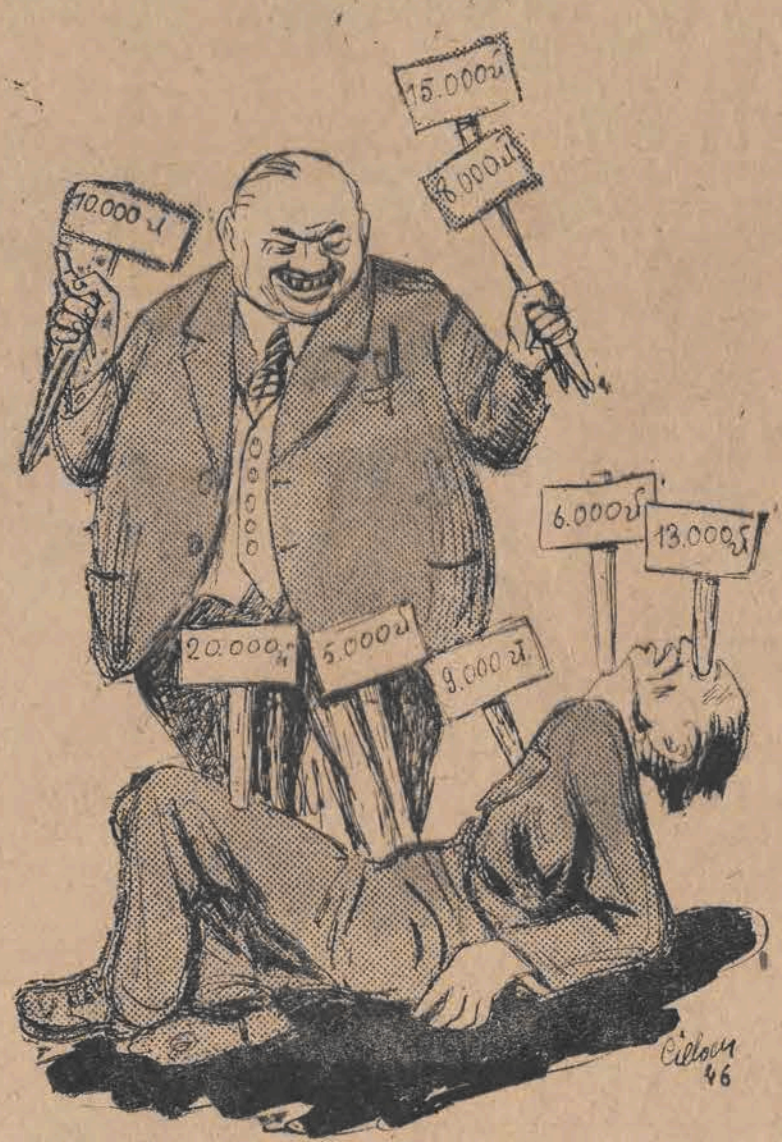


Rys. Stanisław Cieloch

Sadysta

## Maski współczesnego dramatu

Rys. Karol Barański

Komedia amerykańska Tragedia grecka

STEFAN STEFAŃSKI

## *Różne nasze dzienne sprawy*

Różni goście odwiedzają naszą redakcję, lecz ten był doprawdy gościem wyjątkowym.

— Bóg jest z nami, bracie w Teokracji — oświadczył na przywitanie. Spojrzeliśmy na faceta zmęczonym wzrokiem, a jeden z nas mruknął: uff, co za upał!

— Upał? — podchwycił szyderczo Teokrata. — Tak, narazie upał, ale w końcu, w wyniku światowego sprzysiężenia hordy pokryją ziemię i potop zda się będzie sięgać do szyi i grozić zniszczeniem wszystkich, którzy przed nim nie ustąpią...

— Co mamy robić — zapytaliśmy, pocąc się z niepokoju — aby ujść potopowi?

— Bądźcie niepokonanymi od tego świata — zalecił gość — i stójcie wiernie a prawdziwie za Teokratycznym Rządem Immanuela. Ponadto zwalczajcie demony i uważajcie na objawy Czujność ocali świadków Jehowy!

Co powiedziawszy, pionier specjalny Immanuela pozostawił nam na biurku trzy broszury wykonane na cyklostylu: „Wolność w nowym świecie", „Wzmacniajcie serca dla czasów powojennych" oraz „Strażnica zwiastuje Królestwo Jehowy" i wyszedł.

* * *

Nikt z czytelników wrażliwych a religijnych nie weźmie nam za złe, że pozostajemy dotąd pod wpływem proroka Teokracji. Pomni jego zaleceń „uważamy przedewszystkim na objawy".

W wyniku czujnych obserwacji musimy stwierdzić z zadowoleniem, że potop — przynajmniej narazie — światu nie zagraża. Spekulacja niebiesko sprawnie działa i barometr idzie w górę. U nas 31 stopni Celsjusza, w Anglii 50. Najbardziej jednak gorąco jest obecnie na Węgrzech. Panuje tam taki upał że nawet Nagy musiał uciekać do chłodnej Szwajcarii (rozebrawszy się uprzednio ze stroju premiera). A propos Nagy. Istnieje takie porzekadło: „cieszy się jak Nagy w pokrzywach". Podmiotem takiej radości byłby właśnie b. premier, gdyby pozostał na Węgrzech po wykryciu zorganizowanego przez siebie spisku antyrepublikańskiego.

* * *

Gazety nasze podały ostatnio dane liczbowe, dotyczące konsumcji t. zw. napojów chłodzących. Okazuje się, że najwięcej trąbią ludzie wody sodowej, lemoniady i kwasu.

Niedawno odbyło się posiedzenie Landtagu bawarskiego. Jak wynika z burzliwego przebiegu obrad, Niemcom nie wystarcza woda sodowa, lemoniada i kwas. Chcą — piwa. Władze alianckie niewątpliwie się postarają o zaspokojenie tego pragnienia.

Piwo to, naturalnie, nie będzie miało w smaku nic wspólnego z owym, które Niemcy warzyli przez sześć lat całej Europie.

* * *

Nawiązując do zeznań świadka Jehowy o „Assyryjczyku" nie wydaje się, aby był tak zupełnie „pozaobrazowy". Owszem wiąże się wybitnie z obrazem dolara.

I kiedy np. premier rządu włoskiego dokonuje wynurzeń lirycznych, że jemu, de Gasperemu, chodzi o ratunek lira, to mamy tu do czynienia z objawem klasycznego de—lir—ium Tremens? Nie: trumans

ALEKSANDER CHARIM

Istr. Karol Baraniecki

Kiedy skończyłem malowanie obrazu pod nazwą „Wazon kwiatów, wyraziła mi swój podziw przede wszystkim gospodyni. Ale i ona miała zastrzeżenia.

— Mojego wazonu nie widać... — skarżyła się.

W ogóle obraz ten wywołał nieporozumienia. Jedni twierdzili, że przedstawią on motyw urbanistyczny — inni, że portret lotnika.

Malarstwo to trudny zawód. Nie dojadamy — w tramwajach i innych miejscach publicznych spogląda się na nas, jak na zwolnionych z więzienia. Bladzi jesteśmy, wy-

głodzeni i ubrania nosimy wytarte.. Potem przeziębiamy się i — na szczęście! — chorujemy, leżymy w łóżku.

Choroba, to jedna dobra strona naszego zawodu, a druga...

Mam przyjaciela — poetę. Nietakiego, który jeździ samochodami, a w nocy pije koniak i je homary — ale poetę, którego wierszy nikt nie drukuje, który pije kiepską herbatę i wygląda....

Obaj wyglądamy, jak zwolnieni z więzienia. Jest jednak pewna różnica. Kiedy jemu podoba się jakaś dziewczyna to łatwo mu opiewać ją w pieśni, ale trudno mu zwabić ją do mieszkania.

A ja poznawszy dziewczynę, która podoba mi się, mówię niby od niechcenia:

— Wie pani, mógłbym namalować pani portret.... — i potem szybko zmieniam temat rozmowy.

I ona sama już wraca do sprawy malowania

— Co z tym portretem? — pyta nie będąc w stanie ukryć niecierpliwości...

W takim wypadku przybieram obojętny wyraz twarzy.

— Jutro jestem zajęty — mówię — ale pojutrze... pojutrze zaraz po obiedzie mogłaby pani przyjść — przyzwalam i podaję jej adres.

Pojutrze po obiedzie dziewczyna przychodzi — i to jest druga dodatnia strona naszego zawodu.

A mój przyjaciel-poeta opowiedział mi, że w ubiegłym tygodniu poznał młodą dziewczynę, bardzo ładną.

— Nazywa się Celina — dodał, wywracając oczy z zachwytu. — Ale żadnych szans — skarżył się — zupełnie niedostępna. Na dobitek — powiedział — matka pilnuje jej. Nie matka — sprostował — ale cerber, cerber z parasolką.

— Nie wierzę w niedostępne — odparłem pewny siebie — i nie obawiam się cerberów...

Siedzieliśmy, rozmawialiśmy z sobą, gdy poeta nagle pobladł i urwał w połowie zdania. Nie wiedziałem, co zaszło, co się stało. Ale po chwili wyjaśnił drżącymi wargami:

— Idzie ona, Celina... — i jeszcze bardziej przejęty dodał: — Sama, bez matki...

Dopiero wówczas poszedłem za jego wzrokiem i ujrzałem młodą dziewczynę, bardzo piękną i szykowną — wysoką, niebieskooką i o jasnych włosach ułożonych w loki, która zbliżała się ku nam. Poeta wstał, podszedł do niej, a jego nogi drżały nie mniej, niż wargi.

— Może usiądzie pani z nami? — zapytał, pozdrowiwszy ją uprzednio.

Zastanawiała się przez chwilę, poczym wdzięcznie skłoniwszy głowę, wyraziła zgodę. I po chwili już szła ku naszemu stolikowi, a poeta przedstawił mnie.

— Mój przyjaciel — powiedział — malarz Aleksander. Zapewne słyszała pani o nim.

Celina zarumieniła się zawstydzona — i potrząsnęła przecząco główką.

— Rzeczywiście nie słyszała pani nigdy o mnie? — zdziwiłem się. — Nie widziała pani mego obrazu pod nazwą „Wazon kwiatów", ani w oryginale, ani w reprodukcji?— pytałem, wprawiając ją w jeszcze większe zakłopotanie.

Ale nawet w zakłopotaniu pozostała piękna; uśmiechała się z wdziękiem i słodyczą, jak Gioconda.

Zawstydziła się ponownie, gdy zapytałem ją, czy malowano ją już.

— Nie —odpowiedziała i spuściła skromnie oczy.

— No, to możnaby spróbować— rzuciłem niby obojętnie i spojrzałem porozumiewawczo na poetę; miało to oznaczać: „Ja widzisz nie tracę czasu!"

I zacząłem mówić o czymś innym.

Było chłodno, a my siedzieliśmy na przewiewie.

Po jakimś czasie Celina zwróciła się znowu do mnie.

— Czy poważnie pomyślał pan o malowaniu mnie? — zapytała.

Spojrzałem triumfująco na poetę. A jej odpowiedziałem nie od razu i nie bez rezerwy:

— Nie wiem — można będzie spróbować... Jutro będę zajęty — rozważałem głośno — jutro nie będę miał czasu. Ale pojutrze po obiedzie — zakomunikowałem jej — będę wolny i mogłaby pani przyjść....

Potem podałem jej swój adres, który powtórzyła za mną, aby nie uleciał jej z pamięci.

A poeta aż pozieleniał z zazdrości.

— Więc pojutrze — przypomniałem jej jeszcze.

— Tak, pojutrze — powtórzyła, a oczy jej błyszczały, jak dwie błękitne gwiazdy.

Nie ma to jak być malarzem, myślałem odszedłszy. "Nie wierzę w niedostępne i nie obawiam się cerberów" — powtarzałem sobie. Ale czułem się źle — bolała mnie głowa, miałem dreszcze, wydawało mi się, że nogi uginają się pode mną. Włóczyłem się jeszcze po mieście, ale w końcu dałem za wygraną. „Pewnie przeziębiłem się" — pomyślałem sobie. W drodze do domu ułożyłem sobie, że pożyczę od gospodyni termometr, zmierzę sobie temperaturę, a potem jeszcze raz na miasto...

Ale okazało się, że miałem czterdzieści stopni gorączki. Gospodyni zapakowała mnie do łóżka, wezwała lekarza.

— Nic groźnego — swierdził lekarz — to angina. Należy leżeć, zażywać środki napotne, płukać gardło i wszystko. Niestety — dodał — nie dysponujemy lekarstwem przeciw anginie — penicyliną przeciw anginie...

Następnego dnia miałem w dalszym ciągu czterdzieści stopni, leżałem na pół przytomny. Ale trzeciego dnia gorączka nieco opadła — na szczęście jednak utrzymywała się jeszcze ciągle przy jakich trzydziestu ośmiu i pięciu kreskach....

Około godziny trzeciej po południu obudził mnie hałas — ktoś walił z całych sił w drzwi wchodowe.

Gospodyni wybiegła, otworzyła drzwi i po chwili w przedpokoju rozległ się gniewny głos obcej kobiety.

— Gdzie on jest? — wołała. Była niewątpliwie bardzo wzburzona. — Gdzie on się podziewa, ten niby-malarz, Aleksander?

A na mnie skóra ścierpła.

— On chory —oświadczyła gospodyni — niechże pani uspokoi się!

Ale tamta nie przestawała wrzeszczeć.

— Chory jest! — wołała szyderczo. — Ale do uwodzenia nieletnich jest zdrów.

— Aleksander — powtórzyła oschle i stanowczo gospodyni, widocznie już zniecierpliwiona — ma trzydzieści dziewięć stopni gorączki. Jeżeli pani nie wierzy, niech się pani przekona — powiedziała i otworzyła szeroko drzwi mojego pokoju.

Do wnętrza wtargnęła kobieta w nieokreślonym wieku — wysoka, otyła, o włosach, które niegdyś były blond, o oczach, które kiedyś były niebieskie — z parasolką w ręku.

— Ty uwodzicieu nieletnich! — krzyknęła stanąwszy naprzeciw mego łóżka i wymachiwała rękojeścią parasolki.

— Niechże pani da spokój — mitygowała ją gospodyni — on chory....

— Chory? — zaśmiała się tamta — po co w takim razie kazał przyjść do siebie mojej córce? I ta perfidia! Nie miałam o niczym pojęcia. Patrzę —mówiła do gospodyni — a Celina wykrada się z domu. „Panienka dokąd?" pytam ją. A ona rumieni się, zaczyna kręcić. Ale ja mam swoje sposoby — powiedziała i uderzyła się rękojeścią parasolki w otwartą dłoń.. — I wydobyłam z niej prawdę. „Aleksander będzie ją malował!" No, już ja wymaluję tego twego Aleksandra, przyobiecałam jej... Przyszłam do niego, to leży, bestia, w łóżku. Taki to zawsze ma szczęście — skarżyła się.

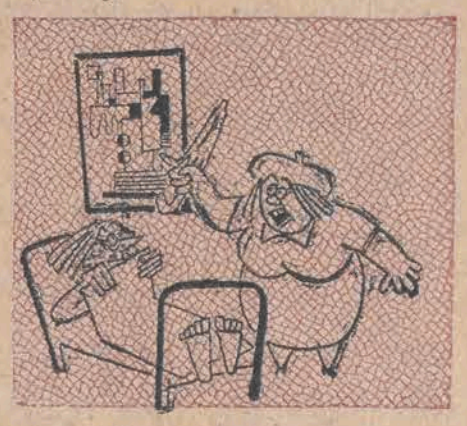

A ja dziękowałem Bogu, że nie ma penicyliny przeciw anginie.

Ona zaś powiodła jeszcze dzikim spojrzeniem po ścianach i dostrzegłszy mój obraz „Wazon kwiatów" parasolką strąciła go ze ściany.

— Nie chcę widzieć tych nagich kobiet! — powiedziała i wybiegła z pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi...

WŁADYSŁAW DASZKIEWICZ

Ilustracje autora

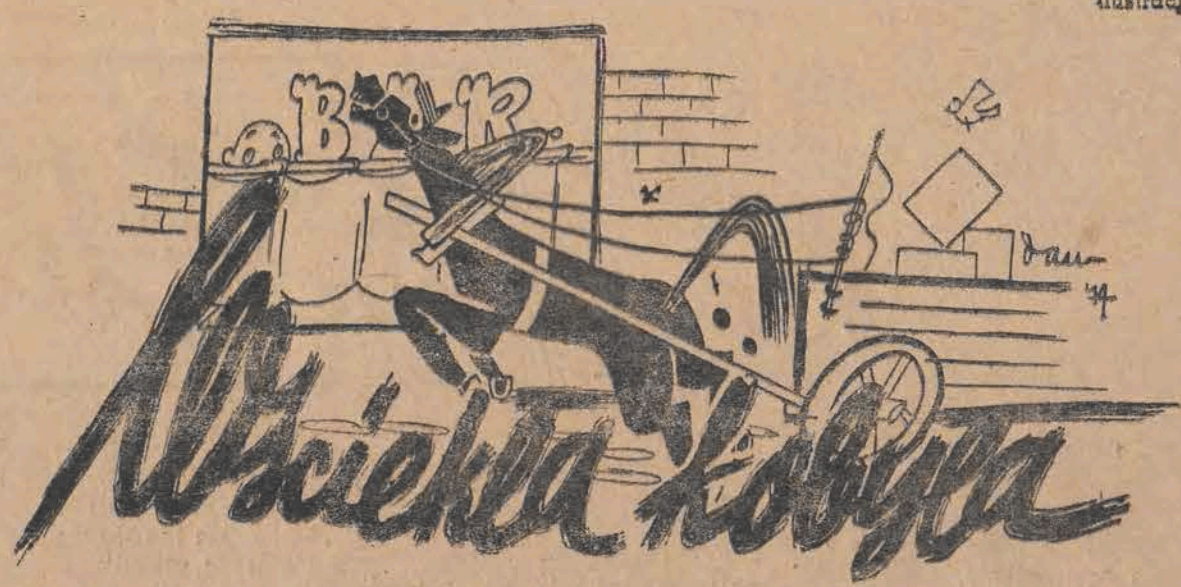


Obywatel Dzięciołek znajdował się akurat koło baru „Pod Bożą Krówką", gdy oto nagle brzdęk, trrach — koń, zaprzężony do platformy, wjechał kłusem w wystawę rzeczonego zakładu gastronomicznego.

Gwałt, zbiegowisko. Nadbiegł milicjant.

— Co się tu stało, obywatele? — krzyknął przepychając się przez tłum.

— Kobyła na jednego do baru wstąpiła — odparło kilka głosów— Takie czasy, że nawet konie „Perłę" piją...

Organ bezpieczeństwa poprawił pasek pod brodą i obrzucił zebranych surowym spojrzeniem.

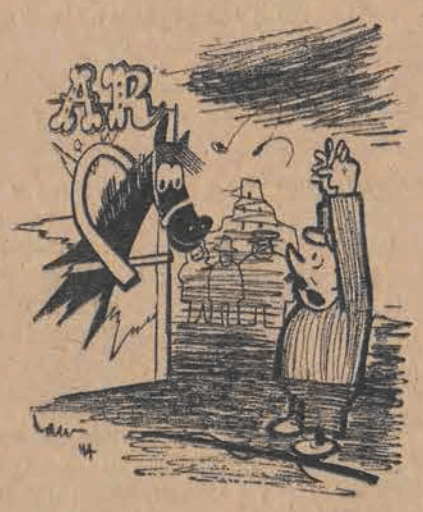

— Bez śmichów chichów — oświadczył — Ja tu służbowo. Kto był świadkiem wypadku.

— Ja — powiedział Dzięciołek z dumą i obywatelskim zadowoleniem. — Ja świadek. Trzy brytwanki, proszę władzy, z nóżkami na zimno, salaterka z sałatką, półmisek raków — wszystko w drebiezgi. A ile...

— Dość — przerwał milicjant — Zeznasz to obywatel w komisariacie. Gdzie woźnica i właściciel baru? Idziemy.

W komisariacie dyżurny spojrzał z zaciekawieniem na sprowadzoną przez milicjanta trójkę.

— Kradzież? — zapytał groźnie.

— Nie — odrzekł milicjant — Kobyła do baru wstąpiła „Pod Bożą Krówkę". Znaczy się — wściekła....

— Jaka tam wściekła — huknął tubalnie furman — Spokojniutka ona i w ogóle nietrunkowa. Anioł, można powiedzieć, tyle że z ogonem...

— Ładny anioł — wtrącił właściciel baru — frunął mi psiakrew z kopytami na wystawę... Zresztą — pokazał na Dzięciołka — niech ten powie!

— Ten pan? — zainteresował się dyżurny — A on będzie co za jeden?

— Świadek — poinformował gastronom — On wszystko widział.

— Dyżurny spojrzał na milicjanta. Ten kiwnął potakująco głową.

— No, — więc rzekł dyżurny do Dzięciołka — Obywatel będzie łaskaw: powoli dokładnie od początku. Znaczy się był obywatel w barze...

Dzięciołek zbliżył się do bariery.

— Nie — zaprzeczył chłodno — wcale nie byłem w barze.

— Zatem przed barem?

— Ani przed barem. W domu byłem, spinki szukałem.

— Spinki? Ależ to nie ma nic wspólnego z wypadkiem!

— Ma. Ponieważ zgubiłem spinkę, odrazu wiedziałem, że się stanie coś złego. I rzeczywiście...

Dyżurny odetchnął z ulgą.

— I rzeczywiście — wtrącił domyślnie — znalazł się pan przed barem....

— Nieprawda. Nie tak szybko. Najpierw wypiłem kawę w domu. Piłem i myślałem sobie, że zdarzy się nieszczęście. Wychodzę...

— I widzi pan: wściekły koń bez dozoru?!!

— Nic podobnego. Wręcz przeciwnie: piękny poranek czerwcowy, słoneczko, wróbelki ćwierkają, w powietrzu krążą muszki i żuczki...

— Muszki — wrzasnął dyżurny — Żuczki! Słoneczko! Poranek! A koń? Koń, psiakrew?!

Dzięciołek wzruszył ramionami.

— Koń? — oświadczył z zimną krwią — No, cóż — koń: wjechał w wystawę, zdeptał trzy brytwanki nóżek, salaterkę z sałatką....

Dyżurny walnął z pasją w biurko zrzucając papier przygotowany do spisania protokułu.

— A niech diabli! — zaklął w stronę milicjanta, który sprowadził do komisariatu Dzięciołka — Cóżeś za świadka przyprowadził? On nic nie wie, nie zna okoliczności

— Jakto — nie zna? — oburzył się Dzięciołek — Znam, tylko nie mogę powiedzieć, bo mi się przeszkadza.

— Przeszkadza? — zaczerwienił się z gniewu dyżurny — W czym przeszkadza? W opowiadaniu dyrdymałek o spince i słoneczku?

Rozmowa prowadzona podniesionym tonem, sprawiła, iż z pokoju z tabliczką „kierownik komisariatu" wyszedł oficer milicji.

— Cóż to za awantura?

— A świadek się wygłupia, panie poruczniku. Kpiny sobie robi, tenteguje....

Tu dyżurny wtajemniczył zwierzchnika w istotę sprawy.

— Hm — mruknął oficer w stronę Dzięciołka — doprawdy, że obywatel coś nie bardzo. Jakże tak można? Pocóż ten poranek, wróbelki i muszki, kiedy chodzi poprostu o wściekłego konia?

— Właśnie — uśmiechnął się uprzejmie Dzięciołek — to wszystko jest potrzebne. Bo gdyby to było np. w zimie, to muszki i żuczki by nie krążyły w powietrzu, wróbelki by nie ćwierkały koło baru...

Oficer machnął niecierpliwie ręką.

— Zaraz, zaraz — kontynuował Dzięciołek — proszę nie przeszkadzać. Więc wracając do żuczków...

— Może wreszcie — do konia? — warknął oficer.

— Nie. Do żuczka. — Odparł stanowczo Dzięciołek — Właśnie żuczek, sam widziałem, umykał przed wróbelkiem....

— Idiota ciężki! ryknęli chórem zebrani.

— Idiota? — zastanowił się opowiadający — Nie, nie uważam, aby żuczek był idiotą. Po prostu: instykt samozachowawczy. Schroni się pod ogon kobyły, ugryzł ją ze strachu w zadek, no, i wjechała jak wściekła do knajpy. Ot, i wszystko. Teraz — jasne?

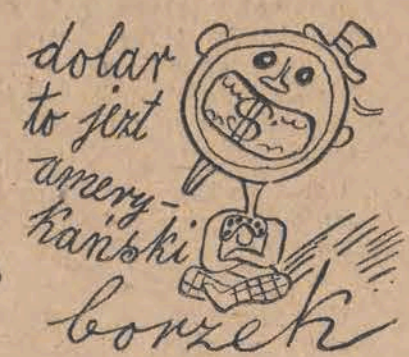


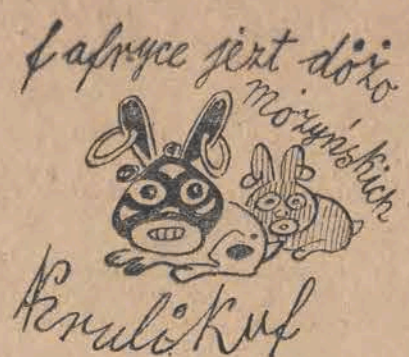


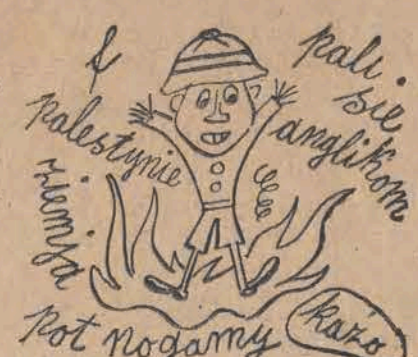

JAN HUSZCZA

# Wędkarstwo polskie

Wędkarstwo! Oto dziedzina absolutnie lekceważona. Od paru lat ani jednej powieści realistycznej z życia wędkarzy, ani jednej rozprawy naukowej na ten temat, ani jednego referatu w sejmie, ani jednego zarysu historycznego. Nawet spółdzielnia wydawnicza „Książka" nie zdobyła się na wydanie aktualnej broszury pt. „Ideologiczny przełom w wędkarstwie polskim"... Prasa również nabrała wody do ust, chociaż znajduje miejsce dla zupełnie, naszym zdaniem bezsensownej propagandy, popularyzującej piórem prof. Pedrasia racjonalną hodowlę pasikoników.

„Enecyklopedia powszechna kieszonkowa" z 1891 roku zbywa wędkarstwo milczeniem. Między informacją **„Więclewski Zygmunt, filol. pols., ur. 1824 w Międzyrzeczu" a „Wędrówki narodów, nazwa ruchów narodów germańskch, słowiańskich i innych"** straszy zasadnicza luka.

Łaskawsza cokolwiek jest „Encyklopedia powszechna Gutenberga". W jej osiemnastym tomie znajdujemy następującą notatkę: **„Wędkarstwo (lub sport wędkarski), łowienie ryb na wędki. Rozróżniamy wędki wzgl. wędy, używane przy przemysłowych połowach ryb (ob. Rybactwo) oraz dla amatorskiego łowienia tzw. wędki ręczne. Wędka ręczna składa się zazwyczaj z kija, zwanego wędziskiem i umocowanej do niego linki, zaopatrzonej na końcu haczykiem, na który zakłada się przynętę"...**

Ten „kij" po prostu zawstydza. Zamiast uczciwej, pogłębionej informacji — leksykalna nieporadność.

A przecież wędkarstwo, to nie tylko sport i rozrywka, to gorejąca treść najpiękniejszych chwil życia i zbawczy azyl schorzałego społeczeństwa.

Siada sobie człowiek nad byle zbiornikiem wody bieżącej, ocienionym wierzbami czy olchą, wiatr chłodzi mu czoło, woda pluska po kamieniach, a przed znieruchomiałym spojrzeniem elastyczne wędzisko...

Narzekają niektórzy na upadek polskiej myśli filozoficznej. Nam się wydaje, że ta myśl nigdy u nas nie rozkwitała. A dlaczego? Bo brakowało jej odpowiedniej bazy. Tą bazą mogło być wędkarstwo, które wymaga rozważającego skupienia, ześrodkowania w ciągu wielu godzin uwagi na jednym punkcie, w danym wypadku na pławiku.

Pławik, czyli korek zapobiegający opadnięciu haczyka z przynętą na dno, to pierwsza szkoła kontemplacji, bez której nie ma filozofii.

Niestety, zarówno Cieszkowski, jak i Hoene-Wroński, oraz — jeśli chodzi o współczesnych — prof. Ingarden nie zdali sobie z tego sprawy.

Wędkarstwo koi nerwy! Pewien znany nam naczelnik poczynając od ósmej rano, codziennie, za wyjątkiem niedziel i świąt spędza czas nad rzeką. Gdyby siedział w biurze, niewątpliwie przeżarłaby go opryskliwość własna i petentów, niepohamowanie i wyczerpanie. Dzięki jednak umiłowanmu wędkarstwu nawet nie wie, że przed miesiącem został zwolniony z posady za stałą nieobecność w urzędzie. Ponieważ nie wie, więc nie przejmuje się.

Wśród przestępców kryminalnych nie znajdziecie ani jednego wędkarza-amatora. Ci na kolizje z prawem nie mają czasu. Może i chcieliby niekiedy kolidować, lecz gdy pomyślą, że kto inny łapałby srebrzyste ukleje...

Statystyka miasta Miszondzniki wykazuje, że na 100 rocznych samobójców przypada zaledwie jeden wędkarz, a i to zazwyczaj od lat niepraktykujący!

Czyż to wszystko nie przekonuje?

Mimo to, powtarzamy, dziedzina należy do absolutnie lekceważonych.

Grobowa cisza panuje wokół kwestii wznowienia miesięcznika „Wędkarstwo polskie", który przed wojną ukazywał się pod redakcją prezesa Jerzego Zaruby.

Kwartalnik „Przynęta" pod redakcją Kazimierza Grusa boryka się z niewiarygodnymi wprost trudnościami finansowymi!

A przecież na tle dzisiejszych cen biletów teatralnych i kinowych, książek i medykamentów — nic co innego, jak właśnie wędkarstwo powinno stać się domeną najszerszych mas!

Wędzisko, kawał nitki, haczyk i pławik z korka — oto jakże łatwe do zdobycia akcesoria. W korki, jak wiadomo, zaopatrujemy się, kupując wyroby Państwowego Monopolu Spirytusowego z tym jeno zastrzeżeniem, że nie należy robić zbyt wielkich zapasów: jeden — dwa pławiki starczą bowiem na dłuższy okres. Wędzisko natomiast można upatrzyć w każdym parku miejskim.

Dlaczego więc—powtarzamy po raz trzeci — dziedzina należy do absolutnie lekceważonych?!

Mimo, że mamy piękne lato.

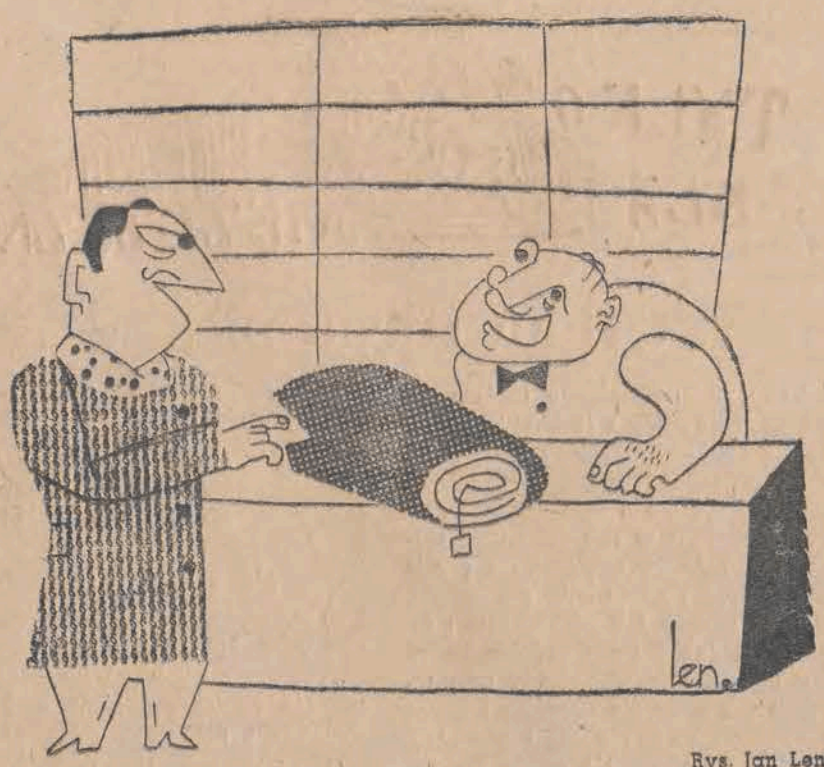


Rys. Jan Lenica

— Wełna?
— Ba, wełna!
— Bawełna?
— Nie — wełna.

JERZY ZAJĄCZKOWSKI

# DYTYRAMB

**Min. Administracji Publicznej, ob. E. Osóbka-Morawski, wydał ostatnio okólnik, dotyczący grzeczności w urzędach...**

**Panie ministrze brawo, brawo!**
**Tak to rozumiem. Chapeau bas.**
**Brawo, że zajął się pan sprawą,**
**która pod znakiem stoi psa.**

**Bo choć wzięliśmy przed wiekami**
**cywilizację tudzież chrzest,**
**to jednak (mówiąc między nami)**
**z grzecznością kiepsko dotąd jest,**

**Szczególnie w biurach i urzędach**
**(wśród małych i wśród dużych ryb)**
**mankament ten nam w znaki się dał**
**i tak się rozrósł, że aż wstyd.**

**Byle panienka z byle biura**
**(mająca trzy miesięczny stage)**
**z byle urzędu byle ciura**
**z zapałem wydzierają twarz.**

**Bezpiecznie siedząc w swych okienkach**
**lub za biurkami (powód duml)**
**i ciura ten i ta panienka**
**z pogardą zwykle patrzą w tłum.**

**Przytym się dosyć często zdarza**
**nieładne słówko, brzydki ton —**
**A gdy się o to ktoś obraża,**
**oni mu (bywal) — „Paszoł wonl"**

**Jak z powyższego więc wynika**
**okólnik był potrzebny, gdyż**
**może na skutek okólnika**
**coś się w tej kwestii zmieni tyż.**

**Za to, ministrze; bije brawo.**
**Moje uznanie. Chapeau bas.**
**I święcie wierzę, że pan z wprawą**
**załatwi sprawę tę raz dwa...**

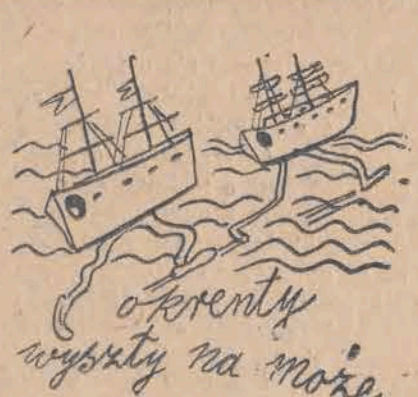


Rys. Kazimierz Grus

# Pan i jego pies

Każdego normalnego mężczyznę niezmiernie nuży a la longue kobiece towarzystwo. Zaobserwujmy go tylko w jego życiu małżeńskim, a przekonamy się o tym naocznie. Oboje państwo w rok po ślubie siedzą na balkoniku majowym i piją śniadanie. Pan otulił się wielką płachtą gazety jak parawanem i za nią żyje jak mu się podoba. Obrabia nos, dłubie w zębach, robi to, czego mu żona nie pozwala i czyta z zapałem nawet długi i poważny artykuł wstępny. Na wszystkie zapytania żony odpowiada niechętnie: „yhm". Gdy przeczyta w gazecie coś zabawnego, to nagle zaśmieje się głupkowato i wykrzyknie: „A, sku — czybyk!" i czyta dalej. Ale oto przed dom, w którym mieszkają zajeżdża znajomy na motocyklu, gasi motor i ze sportowym nonszlanckim szykiem zawiesza sobie okulary na szyi. Nasz mąż momentalnie rzuca gazetę i już jest na dole. Do kolegi z motocyklem cieszy się jak pies do psa, kot do kota, dziecko do drugiego dziecka. Chodzi dookoła motoru nieomal obwąchując go z rozkoszą. Oboje zaczynają oglądać ukochaną zabawkę, coś koło niej dłubać, żona woła z balkonu, że już czas, że biuro, że kino! — Macha na nią ręką, co ma oznaczać: „Dobrze, dobrze!", wsiada na motocykl, puszcza motor i zaczyna hałasować na całą ulicę. Piękność na balkonie załamuje opalone rączki, woła coś, co ginie w hałasie motoru, a co robi, zupełnie bez potrzeby, ponieważ męskie psy bawią się teraz ze sobą i na żadne „swoje panie" nie mają czasu i ochoty. W ogóle nie słyszą i nie widzą ich wcale.

Każdy mężczyzna, żeniąc się, wie z góry, że z kobietą sam na sam długo nie wytrzyma i pragnie mieć naturalne męskie towarzystwo, czyli... syna. Gdy te jego matrymonialne projekty zawiodą, kupuje rasowego psa i od tej chwili kończy się w domu spokój i ciche małżeńskie szczęście. Pani cierpi na stawy, z czego sobie i pan i jego szczeniak absolutnie nic nie robią. Je on za dwóch, a robi za dziesięciu, do której to naturalnej funkcji używa często perlonowych nóżek pani domu.

„A to dlatego — ryczy z radości mąż — że masz nogi proste i długie jak słupy telegraficzne. Powinnaś się cieszyć, że nawet piesek się na nich poznał!"

A biedna pani cieszy się tak, że aż jej łzy z oczu kapią. W domu, z chwilą nastania psa, nie ma już ani spokojnych, słodkich nocy, ani też normalnych obiadów. Szczeniak śpi z państwem, mowy nie ma, ażeby zechciał spać gdzieindziej albo skuczy przez sen, albo kłapie pyskiem. Lubi też, śpiąc, bić od czasu do czasu ogonem o podłogę. Gdy jest czuły i rzewny z natury, nagle w momencie, kiedy pan sobie przypomniał, że obok niego leży ładna, młoda kobieta, a ona z jękiem wdzięczności rzuca się w jego objęcia, piesek skucząc żałośnie wskakuje na tapczan i wsuwa się między nich oboje. Mąż ma w stosunku do szczeniaka objawy czułości młodej matki.

„Chodź, chodź biedaku — szepcze psu na ucho — chodź do swojego pana, no, tak, no, tak, przytul się..."

Gdy żonka objawi swoje, w takich wypadkach niezadowolenie, zraża sobie męża.

„Trudno mi kochać kobietę, która nie kocha zwierząt" — powie niejeden z nich.

Obiadek nawet najlepszy, nie przedstawia już odkąd pies jest w dom, żadnej atrakcji. „Pan Podstoli" nie pozwoli przecież ludziom zaspokoić swego apetytu. Drapie ostrymi pazurami po kolanach i patrzy się w oczy w ten sposób, że najbardziej kamienne serce i zatwardziały żołądek musi się na ten widok wzruszyć.

„Dajże mu przecież ten kawałek mięsa — mówi pan domu — spójrz jak się na ciebie patrzy!"

Najlepsze kęski idą w ten sposób nie do ludzkiej twarzy, ale do psiej. Powiecie, że pies „nie powinien" jadać z ludźmi, że „powinien" mieć swój obiad na swojej misce itp. Oczywiście, ale nie w domach, gdzie jest mężczyzna. Ledwo ludzie usiedli do stołu, już on zaczyna się rozglądać za ukochanym kundlem. „Gdzie Koko?" — pyta się z niepokojem.

„Nie wiem, pewnie w kuchni".

Do kuchni wciąż ktoś wchodzi, mogą zostawić drzwi na korytarz otwarte, ucieknie na schody i po nim!

Wstaje zdenerwowany od stołu i po chwili oboje w podskokach wracają do jadalni.

Koko rudnymi łapami opiera się o stół i zachęcająco pod względem swojego apetytu wywiesza różową flagę jęzora. Spokój jedzeniowy zażegnany.

Nic jednak biednych żon nie doprowadza do takiej wewnętrznej furii, jak czułości, którymi chłodny już mąż, obsypuje swojego faworytka.

„Psiapsiuś, cuduś, no, chodź, chooodź, połóż główkę, daj łapkę, poliż, o taaak, właśnie, dooobry piesek, doooobry, najmilszy, jedyny... Pokaż zębki, pokaż nóżkę, co to się w nóżkę „stało". Boli? „Juś" nie boli, nie boli, o taaak.

„Nie pamiętam, kiedy się tak do mnie ulezwał — westchnęła kiedyś pewna żona".

A inna rzekła bardzo inteligentnie:

„Przed wojną była moda na „odbrazowywanie" różnych sławnych ludzi, może by tak po wojnie ktoś poruszył w pismach sprawę „odbrazowania" psa. Odkąd mamy w domu psa, nie wyjeżdżamy już na wakacje, bo „nie ma kto z psem zostać", nie chodzimy do teatru, bo pies wówczas wyje i mieszkańcy kamienicy wściekają się, nie mamy dzieci, bo Hek dzieci nie znosi, a ja już nie mam męża, bo ma PSA!

Magdalena Samozwaniec

KAJETAN SZALEJ

## LIMERYKI

Demokratom niemieckim — poświęcam

1

Raz gdzieś szepnął Wurst Teofil
„Führer nasz ma brzydki profil..."
Dziś się głośno demokraci,
Twierdząc, że był anti-nazi,
Wróg Hitlera i anglofil.

2

Raz skojarzyła Frau Pitsch pod progiem
Niemiecką sukę z francuskim buldogiem.
Wdzięczni potomni
Wznoszą jej pomnik.
Bo z mitem czystej rasy walczyła jak z wrogiem.

3

Raz w swym sklepie Hans Wieheister
Zamiast mąki sprzedawał klajster.
Dzisiaj wrzeszczy: „To wystarczy
w sabotażu gospodarczym
Jam był zawsze spec i majster!"

4

Raz zdarzyło się Schulz Rozalindzie
Że się oddał boyowi w windzie.
Po tym wypadku
Zwie się demokratką.
(Bo przecież mogła gdzieindziej!)

WITOLD ZECHENTER

## Księżyc w zaczarowanej dorożce

Konstantemu Ildefonsowi z Krupniczej

Tatiano, któraś jest whisky i nowiem,
dorożką, pęciną i ambrą!
do ciebie piszę ten list z fiołkiem w głowie
ja — Kukunamuniukuliambro

Jam jest poeta hermetyczny!
— (o wężu! na jabłoń nie pluj!) —
wiersz macedoński, wiersz limfatyczny
(jak mówił obywatel Homer)
to życie me, żona i „Przekrój".

A przecież koty płyną ponad domem
z tarczami nagich Gotów —
czy możesz spać, Aldono zielona z różą na łonie
w tym czarnym wichrze kotów?

Lecz dla mnie Hermenegilda
Koclubińskiej ochrzczona mianem,
pejzaż Watteau, pijana winda —
a w środku me serce złamane:
bo każdy pisze tak jak może,
Obywatelu Redaktorze!

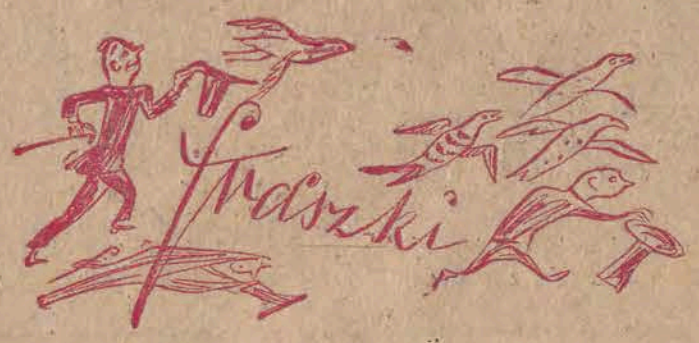


JAN CZARNY

HISTORIA PEWNEGO PANA

Płaszczył się dopóty,
dopóki nie utył.

REFLEKSJA

Za słodycz łona,
zapłata słona...

LUDWIK JERZY KERN

NA DONOSICIELKĘ

Choć co roku w ciąży była
jednak zawsze donosiła...

— Jak myślisz, Teoś, do którego lekarza mam pójść?
— Zawsze do tego z większą praktyką, kochana.

— Nic groźnego, lekkie zapalenie!

Rys. Zbigniew Kluita

— Za nic nie chciał zdjąć świątecznego garnituru do prania!

# MIĘDZY NAMI

**H. Jackowska (Gdańsk — Nowy Port)** W swoim pięknie rymowanym „Liście do redakcji", skarży się Pani, że „tyle piszą o zbrodniach, tyle piszą o wojnie, że chleb drogi, że w Grecji mocno jest niespokojnie", a ani słóweczka „o słoneczku i maju, o miłości i kwiatach, o księżyca promieniach, o fiołkach, bławatach", chociaż w chwilach modrej zadumy lubią ludzie te wiersze, gdzie są młode przeżycia i uczucia najszczersze".

Przyjmujemy list do życzliwej wiadomości i zobowiązujemy się w najbliższym czasie zaspokoić modrą zadumę ludzi przy pomocy wierszy, opartych na stosunkowo młodych przeżyciach i uczuciach najszczerszych, z uwzględnieniem słoneczka, miłości, kwiatów i materiałów bławatnych.

**„Iksiński" („Grafoman") — Łuczany, woj. Olsztyn.** Pseudonim („Grafoman") wskazuje na dość krytyczne ustosunkowanie się Pana do własnej twórczości. Mimo to tworzy Pan dalej, zadając stereotypowe pytanie: „czy wiersze Pańskie nadają się do druku? Czy przedstawiają wartość pod względem literackim?"

Cóż Panu możemy odpowiedzieć? „Niektóre — pisze Pan — powiedzonka — niewątpliwie krzepią, ot, naprzykład takie: nie święci garnki lepią". Uważamy, iż niema podstawy, aby się Pan krzepił wyżej wymienionym powiedzonkiem. Raczej niech Pan wierszy, iż „szkoda czasu i atłasu".

**Wład. Sobczyński (Łódź)** Bardzo nam jest przykro, że nie możemy się odpłacić pięknym za nadobne. Chociaż więc zalicza Pan „Rózgi" do pism na wysokim poziomie literacko-satyrycznym, my Pański felieton musimy zaliczyć do „rodzaju poniżej poziomu". I to bynajmniej nie wysoko. Może go Pan prześle do któregoś z pism codziennych.

**Adela S. (Warszawa)** Pisze Pani: „Mogłabym Panom dostarczać różnych kawałków rozrywkowych". Niech Pani dostarczy. Zobaczymy. Ostrzegamy jednak zgóry, iż wagi jesteśmy ciężkiej i byle co nas nie rozerwie.

**Hieronim Borkowski (Słupsk)** „Wszystkim — twierdzi Pan — komu pokażę swoje rysunki, bardzo się one podobają". Nie wszystkim, Panie Borkowski. Nam np. — nie.

* * *

Jedna z wielbicielek — chcąc schlebić Jules Renardowi — zapewniała go, iż nie dostrzega w nim żadnych wad.

— Myli się pani — odparł jej pisarz. — Posiadam swe wady, lecz przechowuje je dla intymnych przyjaciół...

## A to pan zna?

* * *

Słynny pisarz rosyjski Łomonosow — spotkawszy raz na ulicy poetę Tretiakowskiego, z którego kieszeni wyzierał gruby manuskrypt — zauważył z uśmiechem:

— Co za szczęście, że wszyscy cię znają! W przeciwnym wypadku, mógłbyś paść ofiarą kradzieży...

* * *

Poeta Minajew, zapytany czy można by jeszcze poprawić pewną bardzo kiepską sztukę teatralną — odpowiedział epigramem:

Ostatni akt podrzeć na kawały,
pierwszy akt wyrzucić cały —
a pozostałych dwóch aktów nie grać...

* * *

Wolter — zauważywszy w przedpokoju pewnego znakomitego szlachcica parę dziesiątek peruk — wykrzyknął zdziwiony:

— Istne cuda! Tyle peruk dla człowieka, który w zupełności nie ma głowy...

# Cóż tam, panie, w polityce?...

**Broszura „karty na stół" popiera doktrynę Trumana**

**Znaczone karty Labour Party**

**W związku z polityką „pożyczkową" USA**

**Makoron włoski**

**Reakcja przedłuża kryzys włoski**

Rys. Kajetan Sosnowski

**Dobry wuj Sam (sobie)**

RYS. KAROL BARANIECKI

# PIJAWKI

„Rózgi" ukazują się co tydzień. REDAKTOR: Stefan Stefański — REDAKCJA: Łódź, Piotrkowska 86 — telefon 254-21.
Przyjmuje się codziennie od 12-ej do 14-ej. Wydaje „Łódzki Instytut Wydawniczy", Żwirki 17, tel. 206-42 D 015239